

„Opowieść na dobranoc”

NIEZAPOMNIANY BILL W.

Autor: Bob P.

Ten artykuł ukazał się w wydaniu magazynu Reader's Digest z kwietnia 1986 roku. Autor artykułu był gospodarzem powitalnym podczas Międzynarodowej Konwencji 50-lecia Anonimowych Alkoholików, która odbyła się w Montrealu w Kanadzie.

Był nazywany największym architektem społecznym XX wieku. Sam nazywał siebie Billem W. Jako analityk papierów wartościowych zarabiał fortuny dla siebie i swoich klientów. Ale stracił wszystko, kiedy stał się beznadziejnym pijakiem.

Potem, dzięki darowi siły wyższej, znalazł drogę do zdrowienia i pomógł stworzyć wyjątkową wspólnotę, która przyniosła nadzieję i nowe życie milionom ludzi na całym świecie. Jestem częścią tej wspólnoty i zostałem obdarzony niezwykłą łaską poznania tego niezwykłego człowieka.

Dwadzieścia pięć lat temu lekarze powiedzieli mi, że umrę — wkrótce — jeśli nie przestanę pić. Ale nie potrafiłem zmierzyć się z rzeczywistością bez dużych ilości wódki, po których piłem jeszcze piwo.

Jako młody człowiek przyjechałem do Nowego Jorku z Kansas, zrobiłem karierę w public relations, ożeniłem się, miałem troje dzieci i założyłem dom na modnym przedmieściu w stanie Connecticut.

Z zewnątrz wyglądałem na człowieka zamożnego, ale wewnątrz byłem dręczony poczuciem nieadekwatności. Gdy miałem 40 lat, ogromne powiększenie zdiagnozowano jako zaawansowaną marskość wątroby. Pojawiały się u mnie fioletowe siniaki na całym ciele i krwawienia z nosa — wszystko typowe dla tego rodzaju uszkodzenia wątroby. Raz, podczas podróży służbowej, nie mogłem przestać wymiotować krwią i straciłem połowę całej mojej krwi. Moje życie uratowano transfuzjami. Ale nie potrafiłem przestać pić, nawet po kolejnym krwotoku.

W końcu mój lekarz zrezygnował ze mnie i skierował mnie do doktora Harry'ego M. Tiebouta, jednego z niewielu psychiatrów w tamtym czasie, którzy byli przychylni Anonimowym Alkoholikom i uznawali alkoholizm za chorobę, a nie wadę charakteru. Tiebout zasugerował, żebym poszedł na AA, ale byłem już zbyt daleko, by przestać pić, więc zostałem skierowany do ośrodka High Watch Farm w Kent, w stanie Connecticut. Tam zrobiłem pierwszy z 12 kroków AA; przyznałem, że jestem bezsilny wobec alkoholu, że moje życie stało się nie do opanowania. 4 lipca 1961 roku dołączyłem do wspólnoty AA i rozpocząłem trzeźwe życie.

Trzy lata później, gdy zgłosiłem się jako wolontariusz do pomocy AA w zakresie public relations, spotkałem Billa W. Był legendą i byłem zdenerwowany, wchodząc do jego biura na Manhattanie.

Bill siedział rozwalony na krześle, z nogami opartymi na zniszczonym dębowym biurku, które było pokryte dziesiątkami śladów po przypalonych niedopałkach papierosów. Gdy wstał, miał około sześciu stóp i dwóch cali wzrostu — szczupły, z luźnymi ruchami. Miał długą twarz i błyszczące niebieskie oczy. Zachowywał się tak, jakby spotkanie ze mną było najprzyjemniejszą rzeczą, jaka przydarzyła mu się od lat. „Jestem Bill” — powiedział, wyciągając rękę. „Jestem pijakiem”.

Zacząłem mamrotać, że zawdzięczam mu życie, a Bill, zawstydzony, spojrzał w podłogę i powiedział: „Po prostu przekaz to dalej”.

Z czasem zostałem powiernikiem AA i miałem regularny kontakt z Billem W. Na konferencjach i spotkaniach zarządu często widziałem, jak podchodził do nowicjuszy stojących gdzieś w kącie. Znał samotność, nieśmiałość i brak pewności siebie alkoholika. „Jestem Bill” — witał ich, tak jak mnie. „Jestem pijakiem”. Nigdy nie słyszałem, żeby używał słowa „alkoholik” w odniesieniu do siebie.

Bill zachowywał się i wyglądał jak zwykły człowiek. Ale był niezwykłym zwykłym człowiekiem. Nie zajęło mi dużo czasu, by zrozumieć, że każdy, kto go znał, miał wspaniałe historie do

opowiedzenia o Billu i jego żonie Lois, która współtworzyła Al-Anon dla rodzin alkoholików. Ale nikt nie miał lepszej historii niż sam Bill.

Nazywał ją „opowieścią na dobranoc”. Po raz pierwszy usłyszałem ją w 1966 roku na firmowym przyjęciu świątecznym, ale opowiadał ją od lat. Zebraliśmy się przy ponczu owocowym, ciastkach i śpiewaniu kolęd. Potem, gdy ludzie siedzieli na biurkach i krzesłach, zapadła wyczekująca cisza. Bill stał przy misie z ponczem. Teraz, wykonując ślizgający się, skrętny ruch, usiadł na podłodze i zaczął mówić.

East Dorset w stanie Vermont liczyło mniej niż 500 mieszkańców, gdy Bill W. urodził się tam 26 listopada 1895 roku. Dorastał w domu rozrywanym kłótniami, które często kończyły się tym, że ojciec wyjeżdżał na kilka dni. Bill odczuwał to poczucie nadciągającej katastrofy, które doświadcza wiele dzieci z rozbitych rodzin. Dręczyło go to, gdy dorastał. Gdy miał dziesięć lat, jego rodzice rozwiedli się i rozeszli — coś niemal niespotykanego w 1906 roku. Bill został z dziadkami ze strony matki.

Aby zrekompensować sobie samotność i poczucie nieadekwatności, Bill stał się kimś, kto nadmiernie kompensuje. W wieku 12 lat zaczął wykazywać napęd, ambicję, rywalizację. Gdy jego dziadek przeczytał książkę o Australii i powiedział Billowi, że tylko rodowity mieszkaniec tego kraju potrafi zrobić bumerang, Bill przez sześć miesięcy strugał, aż zrobił taki, który działał. Później uznał ten bumerang za przekleństwo — ponieważ udowodnił jego ego, że ma wytrwałość i wolę, by być „numerem jeden” w czymkolwiek — muzyce, sporcie, nauce. Na przykład naprawił zepsute skrzypce i ćwiczył, aż grał pierwsze skrzypce w szkolnej orkiestrze. Nie był z natury sportowcem, ale zmuszał się i został kapitanem drużyny baseballowej.

W pobliskim Manchester, popularnym letnim kurorcie, Bill poznał Ebby’ego Thatchera z Albany. Dwaj młodzi mężczyźni zostali przyjaciółmi na całe życie. W 1913 roku, dwa lata po poznaniu Ebby’ego, Bill poznał i zakochał się w innej letniej przyjezdnej, szczupłej, ciemnowłosej dziewczynie z zamożnej rodziny z Brooklynu w stanie Nowy Jork. Miłość Lois do Billa była tak samo silna i stała jak jego do niej — miłość, która przetrwała wszystkie zmienne koleje jego lat alkoholizmu. Ale alkoholizm był jeszcze daleko przed nim.

Bill W. nie wypił ani jednego drinka aż do momentu, gdy jako 22-letni oficer armii stacjonował niedaleko New Bedford w stanie Massachusetts podczas I wojny światowej. Nieśmiały młody człowiek z Vermont czuł się niezręcznie i nie na miejscu na spotkaniach towarzyskich — aż ktoś podał mu koktajl Bronx, mieszkankę ginu, słodkiego i wytrawnego wermutu oraz soku pomarańczowego.

„Bariera” — powiedział, wzdychając — „która zawsze stała między mną a innymi ludźmi, zniknęła. Poczułem, że należę, że jestem częścią życia. Co za magia była w tych drinkach! Mogłem mówić i być błyskotliwy”.

W przeciwieństwie do niektórych alkoholików, którzy przechodzą przez powolny proces narastającej zależności, Bill od początku pił do utraty pamięci. Był jedną z tych osób, u których alkohol silnie zmienia umysł i emocje. Pierwszy drink wywołuje pragnienie drugiego, a pijący nie ma absolutnie żadnej kontroli, jeśli wypije pierwszy.

Bill był ostrożny, by ograniczać picie, gdy był z Lois i jej rodziną. On i Lois pobrali się, zanim został wysłany do Francji jako podporucznik artylerii nadbrzeżnej. Tam odkrył dobre burgundy i koniak. Do czasu zakończenia wojny w 1918 roku znów udowodnił sobie, że jest człowiekiem „numer jeden”, liderem ludzi, bohaterem.

Kiedy Bill wrócił do Stanów, on i Lois zamieszkali z jej rodzicami. W dzień pracował jako śledczy do spraw nadużyć dla firmy ubezpieczeniowej. Wieczorami uczęszczał do Brooklyn Law School. Wkrótce zafascynował się rynkiem akcji i stał się odnoszącym sukcesy analitykiem, spekulantem i operatorem transakcji, mając klientów w kilku domach maklerskich na Wall Street.

Ale picie Billa zaczęło przejmować kontrolę. Był zbyt pijany, by zdać egzamin końcowy w Brooklyn Law. Każde rozczarowanie — albo sukces — stało się teraz pretekstem do upicia się. A kiedy Bill pił, często stawał się agresywny i gwałtowny. Wdawał się w bójki z kelnerami, taksówkarzami, barmanami, obcymi ludźmi. Rano, po nastrojach winy i skruchy, przysięgał Lois, że już nigdy nie będzie pił. Wieczorem był pijany.

Przez długi czas Bill i Lois potrafili oszukiwać samych siebie. Mieszkali w luksusowym apartamencie, należeli do klubów podmiejskich. Jeszcze w 1928 roku Bill zarabiał tysiące dolarów i dużą część przepijał. Niektóre poranki Lois znajdowała go kompletnie pijanego, śpiącego na zewnątrz budynku. Krach giełdowy w październiku 1929 roku zniszczył to, czego picie Billa jeszcze nie zniszczyło. Głęboko zadłużeni, on i Lois ponownie zamieszkali z jej rodzicami. Lois podjęła pracę w Macy's. Bill żył teraz, żeby pić, ponieważ musiał pić, żeby żyć.

„Jak inni alkoholicy” — mówił nam — „ukrywałem alkohol jak wiewiórka, pod podłogą, w spluczce toalety. Gdy Lois była w pracy, uzupełniałem swoje tajne zapasy. Piłem teraz dla zapomnienia — dwie, nawet trzy butelki ginu dziennie”.

Do 1932 roku Bill zaczął obawiać się o swoją poczytalność. „Raz, w pijackim napadzie” — powiedział — „rzuciłem maszyną do szycia w Lois — moją ukochaną Lois. Innym razem wściekłem się na nią i chodziłem po domu wybijając panele drzwi, uderzając pięściami w ściany. Pamiętam noc, kiedy byłem w takim piekle, że bałem się, iż demony we mnie wypchną mnie przez okno. Ściągnąłem materac na dół, żeby nie móc nagle wyskoczyć”.

W połowie lata 1934 roku Bill trafił do szpitala Charlesa B. Townsa w Nowym Jorku, który specjalizował się w leczeniu alkoholizmu. Większość ludzi uważała alkoholików za osoby pozbawione siły woli, charakteru i dyscypliny. Ale lekarz Billa w Towns, William Duncan Silkworth, był jednym z niewielu medyków, którzy uznali, że alkoholizm jest chorobą. Powiedział Lois, że niewielu alkoholików będących w tak złym stanie jak Bill kiedykolwiek wraca do zdrowia. Bill wykazywał już oznaki uszkodzenia mózgu. Musiałby być zamknięty do końca życia.

Ale po leczeniu Bill wyglądał na tak silnego, że wrócił do domu. Tym razem pozostał trzeźwy przez kilka miesięcy. Jednak rankiem po Dniu Zawieszenia Broni Lois znalazła go w odrętwieniu, wiszącego na ogrodzeniu przed domem.

Spojrzeni na siebie i Bill zobaczył, jak ostatni błysk nadziei gaśnie w jej oczach. Wiedział, że jest zgubiony. „Cóż, niech tak będzie” — pomyślał. Pogodził się z tym. „Dopóki mam mój gin”.

Niedługo potem Ebby Thatcher, dawny przyjaciel Billa i towarzysz picia, zadzwonił. Co za dziwny zbieg okoliczności. (My w AA mówimy, że zbieg okoliczności to cud, w którym Bóg wybiera

pozostać anonimowy). Bill zaprosił go do siebie. Jak dobrze byłoby wypić razem kilka drinków ze starym kompanem od picia.

Wkrótce zadzwonił dzwonek do drzwi. Stał tam Ebby — z czystym spojrzeniem i świeżym oddechem.

„Co się z tobą stało, Ebby?” — zapytał Bill.

Ebby uśmiechnął się i odpowiedział: „Mam religię”.

Więc Ebby stał się nawiedzonym fanatykiem. „Myślałem, że zaczniesz mi głosić kazania” — wspominał Bill. „Nie zrobił tego. Po prostu opowiedział mi, jak jego picie wymknęło się spod kontroli, jak miał problemy z prawem i jak dwóch przyjaciół dało mu miejsce do życia”. Jeden z nich, Roland Hazard, beznadziejny pijak, przez lata trafiał do i wychodził z sanatoriów. W końcu udał się do Carla Junga, szwajcarskiego psychoanalityka. „Czy nie ma nadziei?” — zapytał Rowland. „Jest” — powiedział Jung. W rzadkich przypadkach alkoholicy doświadczają silnych przeżyć duchowych, „przemieszczeń emocjonalnych i reorganizacji”, które nagle ich odmieniają. Jung próbował wywołać taką zmianę u Rowlanda i nie udało mu się.

Ale pewnego dnia Rowland wziął udział w spotkaniu organizacji zwanej Oxford Group — gdzie ludzie spotykali się, by mówić o swoich niedoskonałościach i przestrzegać pewnych zasad. Tam Rowland doświadczył głębokiej zmiany emocjonalnej i znalazł bezpośredni kontakt z Bogiem. Przestał pić.

Kiedy Rowland opowiedział swoją historię Ebby’emu w Vermont, powstało pierwsze ogniwo łańcucha tego, co miało stać się Anonimowymi Alkoholikami. A teraz Ebby przekazywał tę wiadomość Billowi.

„Ebby powiedział mi, że musiał przyznać, że jest pokonany” — powiedział Bill. „Musiał otwarcie przyznać się do swoich grzechów, naprawić szkody wobec ludzi, których skrzywdził, i dawać miłość bez oczekiwania zapłaty. Musiał modlić się do jakiegokolwiek Boga, w którego wierzył — a jeśli nie wierzył w Boga, to działać tak, jakby wierzył. Ebby powiedział mi, że nie pił od sześciu miesięcy.

„Kilka tygodni później, po kolejnym ciągu, wróciłem do szpitala Townsa i przyjąłem się tam. Ebby przyszedł mnie odwiedzić. Bądź szczerzy wobec siebie — powiedział. Wypowiedz to przed kimś innym. Ale nie chciałem mieć nic wspólnego z tymi głupstwami o Bogu. Módl się do jakiegokolwiek Boga, o którym myślisz, że istnieje — powiedział Ebby. „To było wszystko”.

Podczas jeszcze jednej bezsennej nocy Bill osiągnął „zupełne dno” i „moja uparta duma została zniszczona”. Zawołał: „Jeśli jest Bóg, niech się pokaże! Jestem gotów zrobić wszystko!”

Nagle pokój szpitalny „rozświetlił się wielkim białym światłem”. Przepląnęła przez niego dziwna ekstaza. „Wiał wiatr nie powietrza, lecz ducha” — tak to opisał. „Poczułem spokój... i pomyślałem: nieważne, jak bardzo wszystko wydaje się złe, wszystko jest w porządku z Bogiem i jego światem”.

Bill został wypisany 18 grudnia 1934 roku. Nigdy więcej nie wypił alkoholu. Ale zawsze podkreślał, że większość alkoholików nie ma nagłych, oślepiających doświadczeń jak jego. Większość z nas odnajduje Boga, swoją własną siłę wyższą, bardzo powoli.

W pierwszych miesiącach swojej trzeźwości Bill wyciągał pijaków z barów i zabierał ich na spotkania Oxford Group. Przemawiał do nich. Nikt nie pozostawał trzeźwy. Zaczął rozmawiać z pijakami, a nie DO nich, i podkreślać beznadziejność choroby.

Bill znowu zaczynał stawiać pierwsze kroki na Wall Street, ale podczas podróży służbowej do Akron w stanie Ohio poczuł silne pragnienie napicia się. W holu hotelowym spojrzął do spisu kościołów, wybrał jeden przypadkowo i zadzwonił. „Czy jest jakiś beznadziejny pijak, z którym mógłby porozmawiać?” — zapytał pastora. To doprowadziło go do chirurga, doktora Roberta Smitha — doktora Boba, jak go nazywamy — zdesperowanego alkoholika, który próbował przestać pić i nie potrafił.

Dwaj mężczyźni rozmawiali godzinami. Bill nie głosił kazań ani nie pouczał. Spokojnie opowiedział swoją historię, a pragnienie picia minęło. A potem, po ostatnim ciągu, coś wydarzyło się u doktora Boba. 10 czerwca 1935 roku wypił swój ostatni drink. Anonimowi Alkoholicy — chociaż nie mieli jeszcze nazwy — rozpoczęli się tego dnia.

Wkrótce Bill zaczął prowadzić spotkania w swoim domu, a później w miejscu przy West 23rd Street. W 1938 roku napisał 164-stronicowy manuskrypt zatytułowany „Alcoholics Anonymous”. I tak nasza wspólnota otrzymała swoją nazwę. W tym roku książka sprzedała się w niewielkiej liczbie egzemplarzy. Ale wspólnota zaczęła teraz powoli rosnąć.

Pierwsze ogólnokrajowe zainteresowanie AA pojawiło się dzięki artykułowi w magazynie LIBERTY, który przyniósł 800 listów i kilkaset zamówień na książkę Billa W.

Artykuł doprowadził do publikacji w THE SATURDAY EVENING POST w marcu 1941 roku zatytułowanej „Alcoholics Anonymous”. Wywołała sensację, a grupy zaczęły powstawać od Maine po Kalifornię — wiele tylko dlatego, że jakaś zdesperowana osoba przeczytała książkę i próbowała zastosować jej zasady.

Książka została przetłumaczona na 13 języków i do 1985 roku sprzedała ponad 700 000 egzemplarzy, a łącznie ponad pięć milionów. A grupa, którą Bill założył w Brooklynie w 1935 roku, rozrosła się do około 35 000 grup w Stanach Zjednoczonych i 70 000 na całym świecie.

24 stycznia 1971 roku, w wieku 75 lat, Bill zmarł na rozedmę płuc. Dwa dni później New York Times opublikował jego nekrolog na pierwszej stronie — i świat poznał jego pełne imię i nazwisko: William Griffith Wilson.

Epilog. W lipcu ubiegłego roku stałem na podium na Stadionie Olimpijskim w Montrealu i patrzyłem na około 50 000 osób z 54 spośród 114 krajów członkowskich, w tym czterech uczestników z Polski — naszych pierwszych przedstawicieli z kraju zza żelaznej kurtyny. „Mam na imię Bob P.” — powiedziałem. „Jestem alkoholikiem. Witamy na pięćdziesiątej rocznicy Anonimowych Alkoholików”.

Zewsząd rozległ się ryk, pełen entuzjazmu dźwięk oklasków i okrzyków, który trwał i trwał. Słuchając tego dźwięku i kolejnych mówców, zrozumiałem, że każdy z nas oddaje hołd najbardziej niezapomnianej postaci w naszych odmienionych życiach: Billowi W.

Źródło: Reader's Digest, kwiecień 1986